

Szkoci na swoim?

15 maja 2012

Za dwa lata Szkoci rozstrzygną w referendum, czy zostaną w Wielkiej Brytanii, czy się oderwą i „wybiją na niepodległość”. Chodzi o dużą stawkę.

W XVII wieku Szkoci próbowali współzawodniczyć z innymi narodami, a zwłaszcza z Anglią, w gorączkowym rozdrapywaniu i kolonizowaniu Nowego Świata. Najbardziej ambitną ich próbą był projekt skolonizowania Przesmyku Panamskiego znany jako Projekt Darien w 1698 roku. Do tego celu założono Bank Szkocji (1695) i specjalną Kompanię Szkocką, która zebrała 400 000 funtów w ciągu kilku tygodni. Zmobilizowano na ten cel prawie $\frac{1}{4}$ środków, jakimi Szkocja rozporządzała w tamtym czasie. Jednakże reszta przedsięwzięcia była dużo mniej udana. Szkotom brakowało kolonizacyjnego doświadczenia, handel zaplanowano po amatorsku (zabrano m.in. takie towary jak peruki, buty, szklane paciorki, wełniane sukno, drukowane egzemplarze Biblii, gliniane fajki itp.), bagnisty teren i okropny klimat szybko rozbiły 2500 kolonistów fizycznie i psychicznie, malaria, dyzenteria i alkoholizm zrobiły swoje, w końcu napotkano też na zbrojny opór Hiszpanów i dyplomatyczną niechęć Anglii. Eksperyment przeżyło tylko 300 ludzi, a fiasko tego przedsięwzięcia doprowadziło Szkocję niemal na skraj bankructwa i wywołało potężnego moralnego kaca. Powszechnie uważa się, że był to główny powód, który pchnął Szkocję w ramiona Anglii; w 1707 podpisano Akt Unii łącząc Szkocję z Anglią w jedno państwo – Zjednoczone Królestwo, które trwa do dzisiaj. Mimo fatalnego końca i opłakanych skutków, epizod Darien jest tak ciekawy i barwny, że skusił już niejedno pióro, a i mnie się marzy, by kiedyś obszerniej o nim tu napisać. Jest to bowiem fabuła godna ciekawego filmu.

W ciągu następnego stulecia Szkoci, naród twardy, dumny i niegłupi, otrząsnęli się z kompleksu Darien i nabrali handlowego wigoru, ale dopiero teraz, po 300 latach Unii

nacjonaliści szkoccy chcą spróbować szczęścia samodzielnie po raz drugi. Przewodzi im Alex Salmond i Szkocka Partia Narodowa (SNP), a historyczne referendum ma odbyć się w roku 2014. Do tego czasu wszystkie zainteresowane strony, czyli głównie nacjonaliści i unioniści, muszą przekonać zainteresowanych, aby opowiedzieli się na TAK albo na NIE. Stawka jest dużo większa niż tylko los 5-milionowego narodu. Znaczyłaby bowiem rozpad Zjednoczonego Królestwa, a może i zagrożenie monarchii, wstrząsnęłaby prawnie całą Unią Europejską, natchnęłaby przykładem inne wiszące w powietrzu secesje: w Hiszpanii (Baskowie i Katalończycy), w Belgii (rozpad na Flamandię i Walonię) itp.

Debata trwa i przybiera na sile, a w miarę zbliżania się terminu referendum będziemy zapewne coraz więcej o niej słyszeli. Najogólniej biorąc nacjonaliści argumentują do serca, a unioniści – do rozumu Szkotów. Ci pierwsi wskazują na szkocką odrębność i dumę, język i kulturę, twierdząc, że byłby to ważny czynnik wyzwolenia nowych sił i inicjatyw w niepodległym, własnym państwie. Przywołują przykłady innych małych narodów o podobnie wyraźnej tożsamości jak Finlandia albo Izrael, i na odnoszone przez nie sukcesy. Najsilniej jednak nacjonaliści grają na niechęci, jaką prawie każdy Szkot wyssał z mlekiem matki wobec wielkiego sąsiada z południa. Na Wyspach Brytyjskich i w języku angielskim istnieje zjawisko, którego w Polsce prawie nie znamy – tam się powszechnie rozróżnia ludzi po akcencie i wymowie, i to do tego stopnia, że w policji pracują analitycy, którzy identyfikują nagrania z telefonów według lokalnych akcentów nawet z małych miejscowości. Otóż szkoccy nacjonaliści osiągnęli to, że nikt tam nawet nie słucha argumentów kogoś, kto mówi nie-szkockim akcentem. Dotyczy to także unionistów.

Ale unionistów przecież i wśród rdzennych Szkotów nie brakuje. Owszem – powiadają – jesteśmy Celtami, a nie Anglosasami, nie lubimy się z Anglikami, pamiętamy też wszystkie wojny i krzywdy doznane przed wiekami z ich zdradliwej ręki. Ale od

ponad trzystu lat jesteśmy małżeństwem z rozsądku, razem mieliśmy piękną i pełną chwały historię, razem osiągnęliśmy duży sukces międzynarodowy. To po co nam teraz rozwód? Słuchajmy rozumu a nie serca to lepiej na tym wyjdziemy. Spór jest więc podobny do dwóch nurtów i w naszej historii: romantyzm czy pozytywizm?

W ojczyźnie Adama Smitha argumenty z dziedziny ekonomii politycznej wydają się przeważać nad emocjami. W jednym z sondaży dokonano cynicznej kalkulacji, która wskazuje, że tylko 21% Szkotów wybrałoby niepodległość, gdyby znaczyło to, że każdy dostałby po kieszeni średnio 500 funtów (795\$) rocznie. Z kolei tylko 24% pozostałoby w Unii nawet gdyby ich dochody były mniejsze niż jej średnia. Pozostali kierowaliby się zasadą niewielkiej korzyści i głosowaliby TAK za niepodległością, gdyby miało to jednorazowo dać im korzyść w postaci pieniędzy wystarczających na kupno nowego iPada, a NIE gdyby miało ich tego pozbawić. (Tu mój osobisty komentarz: na miejscu szkockich nacjonalistów nie zabiegałbym o niepodległość dla narodu, który tylko takimi się kieruje kryteriami i motywami. Taki „naród” nie ma przecież sensu!)

Dyskusja ekonomiczna ma oczywiście także głębsze aspekty. Nacjonałisci dowodzą np. że dzięki ropie spod Morza Północnego Szkocja utrzymuje Londyn, a więc lepiej jej będzie pójść własną drogą. Unioniści dowodzą, że sama Szkocja nie byłaby zdolna zainwestować w naftową infrastrukturę i że per saldo jest ona raczej biorcą subsydiów niż dostarczycielem dochodów netto. Prawdopodobnie żadna ze stron nie ma racji, przynajmniej jeśli liczyć to w krótkich okresach. Zakładając, że po uzyskaniu niepodległości Szkocja uzyskałaby również kontrolę nad roponośnym dnem Morza Północnego, dochody z podatków z tego tytułu byłyby z grubsza biorąc takie same, co obecnie otrzymywane subsydia. Przyszłość natomiast wygląda dużo mniej obiecująco. Światowa gospodarka staje się coraz bardziej wzburzonym oceanem, a niepodległa Szkocja byłaby na nim małą, kruchą łupinką. Jej gospodarka zależałaby od ropy w

18%, co uczyniłoby ją podatną na niechybne wahania cen tego surowca. Po 40 latach intensywnej eksploatacji najbogatsze i najłatwiej dostępne złoża już zostały wyczerpane, a te które zostały wymagają głębszych i bardziej kosztownych inwestycji, które przy spadku cen stałyby się nieopłacalne. Alex Kemp z Uniwersytetu Aberdeen obliczył, że przy cenie 90\$ za baryłkę ze szkockiego szelfu ciągnięto by nadal 23 mld baryłek rocznie (ropy i gazu we wspólnym przeliczeniu). Przy cenie 70 dolarów produkcja spadłaby do 16,5 mld baryłek. A przecież oba scenariusze są możliwe: średnia cena w 2009 wynosiła 62 dolary, a w roku 2011 111 dolarów za baryłkę. Do roku 2040 normalna wymiana i demontaż instalacji wydobywczych w strefie brytyjskiej na Morzu Północnym pochłonie ok. 30 mld funtów.

Gdyby kwestia oderwania się Szkocji stanęła w latach 1960. rachunek za ropę wyglądałby inaczej i to tłumaczy dlaczego Londyn reagował wtedy bardzo nerwowo na rosnący szkocki nacjonalizm. Dziś już się go aż tak bardzo bać nie musi. Od roku 2000 produkcja ropy z Morza Północnego spada stale, średnio o 6% rocznie. W latach 2020. zamknie się już prawie połowa dziś czynnych szybów. Do roku 2040 z pozostałych szybów ropa będzie już tylko kapać, a nie tryskać. W końcu złoża wyczerpią się zupełnie i Szkocja zostanie naftową wydmyśką. Norwegia, która ma o wiele większe złoża na Morzu Północnym, od 20 lat odkłada część dochodów z tego źródła na czas, gdy się już zasoby wyczerpią. Wielka Brytania nie ma takiego funduszu, z którego Szkocja mogłaby sobie coś potem odebrać. Sprawa wyczerpanej ropy wywołuje niezmiennie pianę na rudych brodach Szkotów, których nacjonalizm rozbudził się za późno, za wolno i jak widać już nieskutecznie, aby z tego daru skorzystać.

Podobnie jak na całym świecie, jest mało prawdopodobne, aby po wyczerpaniu ropy i gaz mogła w Szkocji zastąpić energia odnawialna. Owszem, wiadomo wszystkim, że Szkocja to bardzo wichrowe wzgórza, i to w dosłownym, a nie tylko literackim sensie, ale energia wiatru (pozyskiwana zresztą głównie wzdłuż

granicy z Anglią) jest tam nadal silnie dotowana przez konsumentów i jeszcze na swoje nie wyszła. Energia z eksploatacji pływów morskich, możliwa do pozyskania w kilku fiordach nie ma jeszcze postaci zdatnej do handlowego wykorzystania i chyba długo jeszcze mieć jej nie będzie. Innych źródeł nie ma.

Mała gospodarka jest podatna także na inne szoki. W roku 2008 rząd brytyjski uratował przed bankructwem dwa największe szkockie banki: Royal Bank of Scotland (RBS) i HBOS, które wykupił Lloyds. W szczytowym momencie bilans RBS był 13x wyższy niż szkockie PKB. Od tego czasu Edynburg, historyczna stolica i najpiękniejsze miasto Szkocji, przestał być ważnym światowym centrum finansowym i nic nie zapowiada, aby miał tę pozycję odzyskać. Istnieje zresztą naturalna granica wsparcia, jakie sektorowi finansowemu zapewnia gospodarka małego kraju. Alex Salmond już odrzucił sugestię, aby w razie uzyskania niepodległości Szkocja przejęła część toksycznych długów RBS ogółem opiewających na 187 mld funtów.

Z uwagi na swój niewielki rozmiar niepodległa Szkocja prawie na pewno miałaby wyższe koszty kredytów, bo i rynek obligacji byłby tam niewielki i mało płynny. Ale największym problemem byłaby niewątpliwie waluta. Początkowo SNP dość entuzjastycznie odnosiła się do koncepcji euro widząc w tym możliwość oderwania się w przyszłości od funta szterlinga. Obecnie ten entuzjazm wygasł skoro już prawie wszyscy wiedzą, że euro to pomyłka i jego ostateczny upadek jest tylko kwestią czasu. Dziś SNP zakłada, że niepodległa Szkocja nadal trzymałaby się brytyjskiego funta. To by znaczyło, że pozostałaby z Londynem w unii monetarnej, ale wyszła z unii fiskalnej. Nie miałaby banku centralnego, własnej polityki pieniężnej i ograniczoną autonomię fiskalną. Taka konstrukcja nie sprawdziła się jednak nigdzie w Europie i wszędzie zakończyła się klęską, zwłaszcza na przykładzie euro. Salmond zakłada zresztą, że niepodległa Szkocja zostałaby członkiem UE z automatu, co jednak w świetle opinii prawników z Brukseli

wcale nie jest pewne. Bardziej prawdopodobny jest status kandydata i negocjowanie warunków członkostwa w UE, a to pociąga za sobą zobowiązanie do wejścia do strefy euro w jakimś określonym terminie.

Nawet gdyby rozwód Szkocji z Anglią odbył się w zgodzie i „za porozumieniem stron” (co przecież wcale też nie jest takie pewne) to skala proporcjonalnych długów, jakie musiałaby przejąć Szkocja – najprawdopodobniej w przeliczeniu na głowę – stanie się niechybnie zarzewiem kolejnych konfliktów. O to, choćby rachunek za demontaż wyeksploatowanych elektrowni atomowych, z których dla nowego państwa nie byłoby przecież już żadnych korzyści, wyniosłby dla Szkocji 4 mld funtów. A jak zostaną rozliczone państwowe emerytury dla nauczycieli i pracowników służby zdrowia: w zależności od miejsca ich dawnej pracy czy obecnego miejsca zamieszkania?

W debacie jaka się toczy wokół Szkocji, nacjonalistom zarzuca się niestałość wizji i zmiany priorytetów. Jeszcze kilka lat temu SNP widziało Szkocję „na łuku pomyślności” jaki obejmował małe i świetnie prosperujące gospodarki np. Irlandii i Islandii. Dziś, kiedy kryzys bankowy i kryzys euro przewrócił tę sielską wizję, SNP zerka raczej w stronę Skandynawii i widzi przyszłą Szkocję jako kombinację państwa opiekuńczego (bezpłatne uniwersytety, opieka nad starcami i dziećmi oraz suto świadczenia emerytalne) i kwitnący sektor biznesowy. Już obecnie jednak szkocki system świadczeń społecznych, o 13% wyższy na głowę niż średnio w Wielkiej Brytanii budzi sporo wątpliwości. Zatrudnienie w sektorze publicznym jest również w Szkocji wyższe (24%) niż średnio w Brytanii (20%). Jeśli to wszystko miałoby wzrosnąć jeszcze bardziej, tak jak obiecuje SNP, skąd wziąć na to pieniądze?

W planach SNP niepodległa Szkocja miałaby przyciągnąć biznes ze świata poprzez niskie podatki, pobudzanie drobnej inicjatywy (np. do produkcji luksusowych specjałów tradycyjnych takich jak whisky, czekolada albo tweed) oraz selektywną politykę przemysłową, czego Londyn – zdaniem

nacjonalistów – nie jest w stanie dobrze robić z daleka. Problem w tym, że podobne recepty na ożywienie własnych gospodarek mają prawie wszyscy dookoła i konkurencja chociażby w obniżaniu podatków rośnie (np. ze strony Londynu). Wśród głosów szkockich nacjonalistów pojawił się więc ostatnio nowy nurt programowy: może lepiej pozostać w 62-milionowym Zjednoczonym Królestwie, ale umacniać nie tylko naszą kulturową i językową odrębność, lecz również powiększać odrębne prawa socjalne dla naszych 5 milionów wydzierając coraz więcej ze wspólnego budżetu.

Autor: Bogusław Jeznach

Źródło: [Nowy Ekran](#)